

ISSN 1732-6494 nr 50, styczeń 2012 egzemplarz bezpłatny

mixer

magazyn studentów

Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego



CZAS APOKALIPSY

Spis treści



Czas Apokalipsy
s. 10



Dom na wodzie
s. 5



**WOŚP, czyli
wielka zrzutka
ludzi o wielkich
sercach**
s. 18

Projekt Architekt	... 4	Święta, święta...	... 16	Filmy na święta	... 20
Dom na wodzie	... 5	Sylwestrowe szaleństwo	... 17	W mroku wojny	... 21
Moralność	... 8	WOŚP, czyli wielka zrzutka	... 18	Obudź się na nowości!	... 22
Czas Apokalipsy	... 10	ludzi o wielkich sercach	... 18		
„Franek, do roboty...”	... 14	Czas na łżwy	... 20		

REDAKCJA:**Redaktor naczelna:**

Dorota Zdechlikiewicz

Zastępca redaktor naczelnej:

Maciej Saskowski

Zespół:

Jacek Cierniak

Marcin Majewski

Kinga Szydło

Katarzyna Rożek – administrator profilu Mixera na facebooku

Numer współtworzyli:

Iza Adamiec

Rafał Christ

Jakub Harańczyk

Sylwia Juszkiwicz

Tomasz Krystyan (Neo Dark Lord)

Aneta Młynarczyk

Ewa Sulewska

Okladka

Grzegorz Wójcik

Dtp i layoutMateusz Janusz (hussars.pl)**Adres**mixer_ka@interia.eu**Druk**

Drukarnia KTE

Nakład

2000 egzemplarzy

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania tekstów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych.



Jakoś wyjątkowo trudno było mi tym razem napisać słowo wstępu do Waszego magazynu. Być może dlatego, że po ponad rocznej pracy przyszło mi się z Wami, drodzy Czytelnicy pożegnać. Przekazuję magazyn w godne ręce i jestem przekonana, że jego jakość utrzyma stałą tendencję wznoszącą, że coraz więcej będzie osób chętnie sięgających po Mixera a także tych, którzy na jego łamach zechcą się sprawdzać.

Styczniowy numer jest zarazem pięćdziesiątym z kolei. Zamykamy tym samym pewien etap w tworzeniu Mixera i wchodzimy w coś nowego. Wyrazem zmian jest między innymi całkiem nowy layout, który mam nadzieję, zaspokoi wyrafinowane gusta Czytelników i powiększy znacznie ich grono.

Korzystając z przywileju posiadania własnego kawałka strony, pragnę gorąco podziękować:

Pani doktor Annie Frątczak – za nieustające wspieranie mixerowej działalności, za dobre słowo i za światełko prowadzące nas przez gąszcz delikatnych a jakże ważnych spraw i sytuacji.

Zespołowi redakcyjnemu – za zaangażowanie, zrozumienie i tworzenie świetnej atmosfery pracy.

Mateuszowi Januszowi za to, że dobrze nam się składało przez te wszystkie miesiące.

I wreszcie – Wam Drodzy Czytelnicy, za to, że jesteście, gdyż bez Was istnienie magazynu nie miałoby większego sensu.

Nowemu redaktorowi naczelnemu życzę wielu wspaniałych miesięcy twórczej, inspirującej i owocnej pracy, świetnych dziennikarzy i co najmniej takiej satysfakcji z wyników, jaką mnie dane było odczuwać.

Dorota Zdechlikiewicz
 REDAKTOR NACZELNA

Dołącz do REDAKCJI!

 Pisz na adres: mixer_ka@interia.eu
facebook

 Mixer magazyn studentów
 Krakowskiej Akademii

W Polsce zawód architekta wymaga trzech rzeczy: zdrowej wątroby, odporności na stres i wyjątkowej umiejętności lawirowania między sprzecznymi przepisami. W zasadzie wszystkie te umiejętności można przećwiczyć podczas studiów, ale prawdziwy profesjonalizm zdobywa się i tak pracując co najmniej kilka lat w zawodzie.

Projekt Architekt



Jestem przekonany, że liczna rzesza ludzi, wybierających na swój zawód profesję architekta, inspiruje się pięknymi przykładami artystów, którzy w tej dziedzinie dokonywali cudów. Podejrzewam, że w sercach i umysłach młodych ludzi, chcących pójść śladami Gaudiego, Le Corbusiera czy Franka Lloyd Wrighta, przewijają się obrazy brył wieżowców, katedr, placów, kompozycje budynków, pięknych i wyszukanych instalacji. Mają w wyobraźni projekty budowli, skwerów, ośrodków wypoczynkowych, budynków biurowych, które będą zdobiły nasze miasta i jednocześnie cieszyły naszą duszę harmonią i funkcjonalnością. Być może młodzi adepci zawodu architekta, zachwycający się nowoczesnymi możliwościami techniki, przekraczają w swoich marzeniach kolejne bariery ustanowione przez naturę. Przebijają chmury i łączą niezdołbyte przełęcz. Wszystko to bardzo piękne, urocze i ambitne tyle tylko, że niemożliwe do zrealizowania w kraju, w którym dominują urzędnicy.

W Polsce zawód architekta wymaga trzech rzeczy: zdrowej wątroby, odporności na stres i wyjątkowej umiejętności lawirowania między sprzecznymi przepisami. W zasadzie wszystkie te umiejętności można przećwiczyć podczas studiów, ale prawdziwy profesjonalizm zdobywa się i tak pracując co najmniej kilka lat w zawodzie. Przyznam, że trochę mi przykro występować w roli osobnika odzierającego młodych i ambitnych ludzi ze złudzeń, jednakże im wcześniej się o tym dowiedzą, tym mniej bolesne będzie zderzenie z rzeczywistością. Podstawową bowiem umiejętnością dzisiejszego architekta nie jest bynajmniej samo projektowanie, ale skuteczne przedzieranie się przez niesłychanie zawile meandry przepisów, rozporządzeń, planów miejscowych lub decyzji administracyjnych. Dodatkowo pozostają uzgodnienia z rzeczoznawcami od BHP, sanepidu lub przepisami przeciwpożarowymi. Na samą pracę twórczą brakuje już czasu, a po wielu sporach z upartymi urzędnikami pozostanie równie niewiele chęci.

Kiedyś architekt był artystą, a w niektórych przypadkach wręcz wizjonerem. Potrafił nasz płaski i nudny świat podnieść do trzeciego wymiaru i uczynić z niego miejsce, w którym czuliśmy się częścią jak najbardziej pasującą do reszty. Architekt oprócz tego, że potrafił swoje wizje przełożyć na papier, posiadał jeszcze jedną ważną umiejętność, tę mianowicie, że wraz z wykonawcami umiał swój plan niemalże własnoręcznie zrealizować. Dzisiaj architekta próżno szukać na budowie. Nie dlatego, że nie chce

tam być albo nie potrafi, ale dlatego, że nie ma już na to czasu, albo nie wolno mu tam się znajdować jako osobie decydującej. Formalnie bowiem nadzór nad realizacją prac sprawuje kierownik budowy, a nim w zasadzie nigdy nie bywa architekt. Spora rzesza młodych architektów rusza w świat z płomiennym przekonaniem, że będą w stanie upiększyć rzeczywistość, którą zastali. Nie wiedzą jednak, jak trudne jest to zadanie albo nawet w niektórych zakresach wręcz niewykonalne. Jak większość zawodów, również profesję architekta, urzędnicy sprowadzili do poziomu kreślarza albo do uciążliwego menadżera zadań, planującego kolejność składania urzędowych pism i śledzącego zmieniające się w astronomicznym tempie ustawodawstwo.

Wszystkie te gorzkie uwagi aż proszą się o jakąś pozytywną nutę. Ta nuta albo nawet cały dźwięk, wybrzmiewa w pięknych, pełnych pasji realizacjach, które tworzone są na całym świecie. Powstają pomimo a czasami na przekór ograniczeniom, jakie wnosi natura a zaraz za nią ludzka miernota. Trzymam kciuki za wszystkich, którzy chcą zostać architektami, aby nigdy nie zabrakło im wyobraźni, tego magicznego daru, który jest fundamentem do przekraczania kolejnych barier.

Korespondowałem dzisiaj z przyjaciелеm, który prowadzi interesy w Chinach. Napisał mi, że właśnie przemierza dwudziestotrzykilometrowy most. To prawie tyle, ile autostrad zbudowano w naszym kraju podczas ostatniej kadencji sejmiku. Wbrew pozorom płynie z tego dosyć pocieszający przekaz dla wszystkich młodych ludzi, chcących uprawiać zawód architekta. Polega on na tym, że w nawet najmniej sprzyjającym otoczeniu politycznym możliwe jest realizowanie projektów zadziwiających świat.

Czasami mam wrażenie, że w naszym kraju ludzie patrzą na architektów jak Eskimos na lodówkę, myśląc, po jaką cholere to komu. Z drugiej jednak strony życzę wszystkim adeptom zawodu architekta, aby czuli się jak piaskowe rzeźby w Międzyzdrojach. Piasku niby wszędzie pod dostatkiem, ale uwagę przykuwa tylko ten uformowany w piękne bryły.

Jacek Cierniak



Dom na wodzie

Kiedy pięć lat temu, pierwszy raz zobaczyłem „Ćmę”, bujała na wodach Grand Union Canal w Rickmansworth, gdzie przedmieścia Londynu przeistaczają się w pejzaż właściwie wiejski. Wagoniki metra zaskakiwały mnie tam, pojawiając się niespodziewanie ponad konarami drzew; ostatnie ruchome skrawki miasta wypryskujące z tunelu niczym srebrzyste ryby, by poszybować ponad podmokłymi łąkami. „Ćma” była przycumowana do błotnistej nadbrzeżnej ścieżki. Poskręcane liście kasztanowca zwieszały się nad jej dachem jak cytrynowe nietoperze, a wieczorne mgły z wolna podnosiły się nad wodą.

Wewnątrz, oprócz wzorzystego pomarańczowego dywanu i ciężkiego żeliwnego pieca, było pusto; dawało się tylko odczuć to specyficzne spowolnienie czasu, jakie można odnaleźć na starych łodziach. Życie na wodzie ma osobny, specyficzny rytm: jest częściowo zatrzymane w odległym o dwa stulecia czasie, kiedy barki były ciągnięte przez konie albo muly. Kie-

dy określał się dopiero ich późniejszy kształt, pozwalający im zmieścić się w świeżo wynalezionych śluzach. Większość łodzi pływających po angielskich kanałach ma zaledwie około dwu metrów szerokości, co w praktyce oznacza, że stojąc wewnątrz, rozpostartymi ramionami można dotknąć obu ich przeciwnych ścian. Zwykle w śluzach jest akurat dosyć miejsca, aby dwie łodzie mogły się w nich zmieścić, stykając się burtami, czasem jednak są węższe, i to właśnie sprawiło, że w epoce, kiedy barki były podstawowym środkiem transportu towarów, zaczęto je budować coraz smuklejsze. Kursowały wtedy po całym kraju, pomiędzy kopalniami, wielkimi fabrykami i portami. Sieć kanałów pokrywa niemal całą Wielką Brytanię, jej centrum stanowi środkowa Anglia, ale odgałęzienia rozbiegają się na wschód, do Wali, a nawet na północ, aż do Szkocji.

Pierwotnie większość miejsca na pokładzie zajmował węgiel albo jakiś inny ładunek, co sprawiło, że przewoźnicy musieli mieszkać razem

w małej kabinie mieszczącej się z tyłu łodzi, przy sterze. Często zdarzało się też, że do głównej łodzi była przycumowana druga barka, przeznaczona wyłącznie do użytku przewoźników. Ta dodatkowa barka nazywana była „butty” i służyła jako swoisty magazyn wszystkich niezbędnych przedmiotów, na które nie starczało miejsca na głównej łodzi. Przewoźnicy tworzyli własną podobną cygańską społeczność. Żenili się w jej obrębie, a ich dzieci, ponieważ barki były w nieustannym ruchu, rzadko chodziły do szkoły i często już w wieku czterech czy pięciu lat zaczynały pracę, prowadząc ciągnącego barkę konia. Flisacy przyozdabiali swoje łodzie wizerunkami jaskrawo kolorowych kwiatów i zamków tonących w chmurach. Konie pociągowe były im niezwykle drogie, i kiedy któryś z nich zdychał, zwykli wieszać jego podkowę u steru jako pamiątkę i talizman.

Jacy ludzie żyją więc dziś na łodziach? Różni; spotkałem na kanale studentów, bezrobotnych na zasiłku, hippisów, homoseksualistów, byłych ➤

marynarzy, robotników, narkomanów, poszukiwaczy przygód, a nawet pilota Brytyjskich Linii Lotniczych. Niektórzy odwiedzają swoje łodzie tylko w wolnych chwilach; dla innych są one życiową bazą, domem; jedni wolą cały czas cumować w tym samym bezpiecznym i znanym miejscu, inni tak jak Malcolm Fenderman (mechanik, który zbudował swoją barkę) podróżują bez ustanku, docierając do najdalszych zakątków wodnego świata.

Tenże Malcolm pewnego razu pokazał mi swój „ślubny album”, dokumentujący dzieje jego barki od starego żelaznego szkieletu aż do szykownej i ekstrawaganckiej ślicznotki, jaką jest teraz. Wszystko, poczynając od nitowań łączących płyty poszycia, z których składa się jej kadłub, aż do wprawienia okrągłych okrętowych okienek w nadbudówkę własnego projektu jest dziełem Malcolma. Kiedy łódź była na ukończeniu, przyjaciel podarował mu wyłowioną z dna morskiego śrubę okrętową i trzymał jako ozdobę w ogrodzie. Teraz barka Malcolma pływa poruszana tym właśnie trofeum z głębin.

Do dziś można spotkać na kanale barki rozwijające ładunek tak samo jak przed stu laty. Są one zwykle jeszcze dłuższe niż ich udomowione krewniaczki (to znaczy 20 metrów i więcej) a ponadto większe od nich i masywniejsze; najczęściej drewniane, o grubo smołowanych kadłubach i wysoko zadartych dziobach. Wieczorne spotkanie z parą takich kolosów, sterowanych przez młodą dziewczynę i chłopaka, o twarzach umorusanych pyłem węglowym, na zawsze zostanie mi w pamięci.

Innym razem zdarzyło mi się poznać mężczyznę, który zamienił połowę swojej łodzi na prawdziwą pracownię ceramiczną: z kołem garncarskim, ogromnym piecem i nawet małą wystawą. Okazało się, że mimo to na barce wystarcza miejsca dla niego, jego syna i olbrzymiego czarnego owczarka, a zasilany gazem piec ceramiczny doskonale ogrzewa całą trójkę w czasie zimy. W pobliżu Oxfordu spotkałem grupę młodych ludzi z wiatrowymi elektrowniami i słonecznymi bateriami zainstalowanymi na dachach łodzi. W każdy czwartek



wszyscy zbierają się na jednej z barek, aby grać na bębnach do późna w nocy. Ta odrobina ciasnej przestrzeni, która stanowi świat każdej barki, okazuje się więc za każdym razem zupełnie inną rzeczywistością.

Zawsze zadziwiało mnie, kiedy byłem zapraszany do łodzi wyposażonej we wszelkie wygody nowoczesnego mieszkania. Na niektórych barkach można znaleźć nie tylko telewizory, ale również pralki, kuchenki mikro-

falowe a nawet odkurzacze! Nie na „Ćmie” jednak! Żadnych odkurzaczy! Nie oznacza to wszakże klasztornych warunków – i tu, odkąd łajbę zakupił mój przyjaciel Piotr, znalazło się to, co niezbędne, a więc:

Ogrzewanie: starej żeliwnej kocioł wystarczy kilka grubych polan, by promieniowała ciepłymi falami przez całą noc. Z tyłu piecyka umocowany jest bojler, który miedzianymi rurkami doprowadza gorącą wodę do ka-



loryfera w sypialni, na drugim końcu łodzi. Palone drewno roznosi przyjemny zapach, a chrustu w zaroślach nie braknie.

Woda: Na dziobie łodzi umieszczone są dwa 150-litrowe zbiorniki na wodę, a w kajucie pod kuchennym zlewem znajduje się nożna pompa. Barka jest niezależna od elektryczności i gazu a mimo to, w kranie zawsze jest bieżąca woda. Na „Ćmie”, jest prysznic i gazowy piecyk, nigdy

jednak nie udało się ich uruchomić. Właściciel radzi sobie przy użyciu starej cynowej balii – w letnie wieczory wystawiają ją na świeżo skoszoną trawę nabrzeża. Kąpiel przy księżycu jest rozkoszą nie do pogardzenia.

Gaz: Kuchenka jest zasilana gazem z ogromnej pomarańczowej butli. Gaz jest tani, tym bardziej, że nie potrzeba go wiele – dwa miesiące obiadów i kąpieli i nic, gaz jest jak był. Mimo wszystko, kiedy już go brakuje,

to następuje to zwykle w sobotni wieczór w trakcie przyrządzania kolacji, bez dalszych widoków na jej skończenie czy choćby filiżankę ciepłej herbaty. Gdy latem zeszłego roku instalacja gazowa kompletnie wysiadła Piotr był zmuszony gotować wszystko na ognisku, w środku miejskiego parku, co było dosyć miłym, acz dziwacznym ćwiczeniem w technikach przetrwania.

Światło: jako oświetlenia używa się lamp naftowych i świec, co jest w porządku w ciągu lata, jednak w czasie długich zimowych wieczorów to mgliste pomarańczowe światło okazuje się być nieco mniej romantyczne, zgoła melancholijne i męczące dla oczu. Na „Ćmie” jest zainstalowane również oświetlenie elektryczne, ale nie korzysta się z niego często. Zimne światło jarzeniówek sprawia, że barka przypomina mieszkanie w lodowcu. Ostatecznie zawsze pozostaje świecąca bardzo jasno, sycząca monotonnie lampa na sprężoną naftę.

Takie oto są podstawy egzystencji i komfortu na barce. Poza nimi można jeszcze wymienić ogromne superlusowe łóżko na sześciu nogach zrobione z drewnianych belek. Ponadto jest jeszcze sofa zaimprovizowana z dwu drewnianych palet i starego materaca przykrytego pomarańczowym jedwabiem, stolik, radio, Singer na korbkę, no i stara drewniana komoda, w której szufladach kryje się cała reszta drobiazgu. I to byłoby na tyle.

Niespokojni ludzie, którzy czują się osaczeni w czterech ścianach, lubią niezobowiązujące bezpieczeństwo łodzi... Możliwość podróży i jednoczesnego poczucia, że kanał jest twoim azylem. Piotr często podróżuje i mieszka wiele miesięcy poza krajem, ale zawsze „Ćma” jest miejscem, o którym myśli jako o swoim domu.

W zeszłym roku „Ćma” miała poważną awarię i upłynęło dziesięć długich miesięcy, zanim naprawa ruszyła pełną parą. Łodzie potrzebują czasu i miłości. Teraz silnik śpiewa znów pełnym głosem, i tylko należy mieć nadzieję, że „Ćma” będzie jeszcze długo podróżować. Może jeszcze piękniejsza niż kiedykolwiek.

Tekst: Maciej Saskowski

Zdjęcia: Piotr Czerwiński

5 najważniejszych dla ludzkości pytań...

...których nikt sobie nie zadaje.

MORALNOŚĆ

Ostrzeżenie: niniejszy tekst przedstawia niektóre poglądy autora, które mogą zostać odebrane przez konserwatywne grono odbiorców jako kontrowersyjne, skrajnie liberalne, burzące ład społeczny oraz niezgodne z obowiązującymi normami kościoła rzymsko-katolickiego.

Czym jest moralność?

Kto chodził, ten wie, że na religii, etyce, a gdzieś tam też na filozofii obowiązkowo rozważane są tak zwane źródła moralności i w zależności od punktu widzenia są one albo pochodzenia bosko-nadprzyrodzonego (choć tu jak zwykle pełno metafor i niejasności), albo prawno-społecznego, co jest skutkiem uprzedniego podjęcia przez reprezentantów danego społeczeństwa pewnych ustaleń, a następnie zinternalizowania ich przez transmisję kulturową w czasie trwania kolejnych ideochłonnych pokoleń.

W przypadku pierwszego wskazania rodzi się jednak pytanie, czy ludzie byli moralni zanim poznali Ra – władcę bogów i ludzkości; Zeusa – wnuka stwórców wszechświata, pana wszelkiego ziemskiego oraz niebiańskiego stworzenia; Allaha – Boga Jedyne o 99 imionach, bezlitosnego jedynie wobec innowierców; oświeconego Siddhartha Gautama, który wyrzekł się nawet własnej reinkarnacji; czy okrutnego Boga Jahwe o morderczych zapędach i dwóch ojcowskich twarzach, w imieniu którego wypowiadało najwięcej krwawych wojen innym bogom i ich wyznawcom, nawet jeśli tylko rzekomym?

Odpowiedź znają zapewne tylko religioznawcy i pełnokrwisti filozofowie, ponieważ większa część posłanników niosących słowo pańskie zwykle odwołuje się do riposty, iż to

była metafora a nie, jakieś tam prostackie czytanie wszystkiego dosłownie. Ciężko jednak, usiłującemu być wyrozumiałym – sceptykowi-racjonalistcie pojąć, że skoro Adam i Ewa to była metafora, Eden to była metafora, 7 dni stworzenia to była metafora, Wieża Babel, Sodoma i Gomora, potop ludzkości, przekroczenie Morza Czerwonego... to wszystko to była metafora, to co nie jest metaforą? A może sam Bóg, bóg, bóstwo, Święty Mikołaj to też jest metafora? Z chwilą, gdy odpowiedź byłaby twierdząca, a bóg okazał się po tysiącach obłudy poetycką personifikacją Wielkiego Wybuchu Richarda Hawkinga i teorii ewolucji Darwina, wówczas podalibyśmy sobie rękę na zgodę, nie chowając dłużej urazy.

A teraz szybkie pytanie kontrolne. Skoro ludzie współcześni (*Homo Sapiens*) żyli przez około 190 000 lat zanim wymyślili jak nazywać (w miarę) współczesnych bogów (nie licząc Ra czy Gai), to czy byli oni moralni sami z siebie? A jeśli nie, i wiele na to wskazuje, skoro do zawiazania międzyplemiennego porozumienia niezbędne były umowy społeczne i handlowe (świetnie udokumentowane przez Bronisława Malinowskiego), a obecnie funkcję regulującą pełnią przepisy, kodeksy, traktaty, pakt... to czy moralność jest wynikiem ludzkiej działalności (czy anonimowego natchnienia boskiego, które z biegiem tysięcy nabrało innego wyrazu)? Więc Jahwe i Allah, teoretycznie wywodzący się z tego samego pnia drzewa są prapra-

praprawnuczetami pierwszej ludzkiej idei metafizycznej, prawdopodobnie kultu słońca lub ognia? Być może ludzie nie byli moralni we współczesnym rozumieniu tego słowa? Zatem czy moralność może być echem aktualnie panującej, swoistej mody na akceptowaną postawę obywatelską?

Celem lub przeznaczeniem owej moralności, według różnych stanowisk jest właściwe dopełnienie bożych przykazań (a każdy bóg, bóstwo, Święty Mikołaj oraz odłam religijny posiada swoje własne, nieco inne priorytety i interpretacje powinności), co ma rzekomo służyć dobru ludzkości i gwarantować jakiś pośmiertny bonus w takiej czy innej czasoprzestrzeni, zależnie od danego systemu religijnego. Choć nie do końca wiem, jak się to ma do przykazań o cudzołożeniu czy pożądaniu ości bliźniego twego.

Można by utylitarnie uzasadnić zakaz zabijania, kłamstwa czy kradzieży. Możliwe jest także, aby dowieść z ewolucyjnego i kulturowego (Claude Lévi-Strauss) punktu widzenia nieujęty w dekalogu zakaz kazirodztwa (Koran jest pod tym względem bardziej precyzyjny). Jednakże rodzina jest instytucją sztuczną i wtórną, czysto ludzką fanaberią, bez której dalsze funkcjonowanie ludzkości jest nadal możliwe, a co więcej, znacznie zabawniejsze i zróżnicowane. W czym poligamia wadzi Bogu i czemu nie nazwano tego wiernością wobec wyznawanych wartości? Pewnie dlate-

go, że z konieczności narzuciłoby to zbyt dużą dowolność podczas samodzielnej (tfu!) interpretacji świętych tekstów. Natomiast to głównie dzięki zazdrości i pożytecznemu pożądaniu idea ognia mogła się przenieść z jaskini do jaskini, a obecnie służyć pod postacią rozwoju technologicznego i wyrównywania przepaści cywilizacyjnych.

Drugie wytłumaczenie celowości praw moralnych, zgodnie z ich pragmatycznym zastosowaniem (co moim zdaniem jest bardziej pierwotne i oczywiste), wskazuje, iż mają one usprawniać funkcjonowanie jednostki w społeczeństwie.

Chociażby według angielskiego filozofa Thomasa Hobbesa, człowiek jest z natury egoistyczny – albowiem pragnie przeżyć i osiągać korzyści indywidualne, egocentryczny – albowiem skupiony jest na sobie, i silnie zmotywowany do walki o samego siebie – a więc zdolny do bratobójczej agresji, co oddaje słynne stwierdzenie *Homo homini lupus est* (łac. człowiek człowiekowi wilkiem jest). Musiał on zatem zawrzeć swego rodzaju pakiet umów społecznych, aby móc osiągać korzyści nieosiągalne z poziomu jednostki (a przy okazji nie wyrzucić jak ptak Dodo). Jest to oczywiście jedna z kilku hipotez dotyczących początków kolektywizmu, idei społeczeństwa oraz prawa i norm.

O moralności, czyli o powinności, konieczności, użyteczności, pożytku dla ogółu i tym podobnych, wypowiedzieli się niezliczeni filozofowie (np. John Locke – o prawie naturalnym i wspólnocie; John Stuart Mill – o wolnościach obywatelskich i feminizmie; Immanuel Kant – o imperatywie kategorycznym; Platon – o trójpodziale duszy i jej cnotach), obierając tę kwestię niemal za swój kurs programowy przy budowaniu własnego systemu filozoficznego lub też korekty czy re-interpretacji już istniejącego.

Większość z tego, co jest o moralności rzeczzone, to pewna wizja danego reprezentanta danej kultury na temat tego, jak powinno być, a jak niekoniecznie jest oraz jak powinno się przestrzegać właściwego porządku rzeczy. Z trwogą można obserwować skrajny relatywizm oraz temporal-

ność prezentowanych poglądów, które w zestawieniu dla danych epok niekiedy przybierają postać wręcz skrajną i kontrastują ze sobą niczym pedomił zatrzaśnięty w łazience dla przedszkolaków. I bynajmniej nie chodzi wy-



łącznie o psychopatyczną politykę sterylizacji Europy i świata realizowaną przez III Rzeszę.

Toteż całość rozważań domykają badania antropologów kulturowych, które wskazują, że wartości uniwersalne, obowiązujące i respektowane we wszystkich kulturach, są zaledwie dwie. Pierwsza to ogólnie rozumiana zasada samopomocy i zachowania własnej grupy (Clyde May Kluckholm), druga jest natomiast endogeny zakaz kazirodztwa (Claude Lévi-Strauss). Obydwie wartości odnoszą się do głęboko zakorzenionych, instynktownych zachowań gatunkowych większości naczelnych, co tłumaczyłoby też ich powszechność.

Wiemy już mniej więcej CO TO JEST moralność, w dalszym ciągu jednak nie wiemy CZYM JEST moralność! Otóż, moralność jest to pewna umowa społeczna ustanowiona przez silniejszą większość, która narzuca swoją wolę dyskryminowanej za inność mniejszości, czyli w skrócie demokracja.

Moralność jest przyzwoleniem na pedofilię (np. monarchie, w tym polskie i plemiona afrykańskie) oraz przykazem by płakać i histeryzować w obliczu dziecięcej krzywdy (od

XVIII w. do dzisiaj). Moralność to radosne gwałcenie kobiet i dzieci podczas zbrojnych najazdów (przywilej strony wygrywającej), pochwała niewolnictwa (np. Platon, starożytna Grecja, Egipt, Mezopotamia), upodobanie krwawych sądów i widowisk (np. starożytny Rzym, Aztekowie), stosowanie tortur i kary śmierci (średniowiecze), polowanie na praktyków magii oraz na innowierców (*Malleus Maleficarum*, Joanna d'Arc), powszechność praktyk homoseksualnych (starożytny Egipt, Grecja, Azja), ale także homofobia (religie judeochrześcijańskie, Islam, nazizm). Moralność to uogólniony rasizm (Chamberlain, KKK, nazizm), szowinizm i seksizm (Biblia, Koran), ale to również walka o idee wolności (leseferyzm, liberalizm), równości (anarchizm, socjalizm), tolerancji (liberalizm), wspólnotowości (kolektywizm), indywidualności (kapitalizm), majątności (merkantylizm)...

Moralność to jest ta mała i zastraszona przez ogromny świat wioska bosostopnych buszmenów z ciemnogrodu, którą uprawiasz w swojej głowie, propagując bezrefleksyjnie poglądy zasłyszane od swoich rodziców, autorytetów, kolegów, środowiska czy ze źródeł, które nie były ci przeznaczone w młodym wieku.

Pamiętaj, że kiedykolwiek powołujesz się na to, iż coś jest niestosowne z moralnego punktu widzenia, to mówisz tu o swoim moralnym punkcie widzenia. Nie zawsze jednak większościowym, a nawet jeśli, to bardzo rzadko nieskazitelnym i niepodważalnym słusznym. Moralność nie jest świadectwem objawionym, niczym metafizycznym ani tym bardziej prawdą obiektywną. Jest czymś na kształt ładnie wyglądającej i zapewniającej ci popularność w towarzystwie pary jeansów, którą ubierasz w danej kulturze i epoce. Toteż atakując inne rasy, płcie czy orientacje seksualne, lepiej by było dla ciebie, byś nie spotkał większego, silniejszego i służącego niegdyś w stalowych beretach wyznawcy swojej własnej moralności, która uprawnia go do pożerania mniejszych, słabszych i z cywila.

Ot, zwykłego sceptyka-racjonalisty...

Tomasz Krystyan

Przeczucie bliskości końca świata towarzyszyło cywilizacji chrześcijańskiej przez niemal dwa tysiące lat. Każde pokolenie było przekonane, że żyje w czasach ostatecznych. Pierwsi chrześcijanie wierzyli, że koniec świata nastąpi jeszcze za ich życia. Niektórzy wyciągnęli zbyt daleko idące wnioski i św. Paweł musiał się natrudzić, żeby przekonać ich, że nie powinni pochopnie rezygnować z pracy i zachowywać się biernie względem doczesnych spraw. Św. Hipolit Rzymski zapowiedział powtórne przyjście Chrystusa na rok 500 naszej ery. W roku tysięcznym liczne znaki wskazywały na bliskość końca i Europę ogarnął duch pokuty. Sypały się kolejne daty, kolejne rozczarowania, a świat trwał niewzruszenie. Choć oczekiwany Zbawiciel nie przybywał w oznaczonym przez proroctwa czasie, katastrofy, wojny i burzliwe wydarzenia polityczne podsycały apokaliptyczne nastroje. W XI w. Abbon z Fleury pisał: „Kiedy byłem młodzieńcem słyszałem kazanie o końcu świata wygłoszone w paryskiej katedrze. Zgodnie z nim, jak tylko wypełni się tysiąc lat, nadejdzie Antychryst i w krótkim czasie nastąpi koniec. (...) Bowiem niemal cały świat ogarnęła wówczas pogłoska, że kiedy święto Zwiastowania wypadnie w Wielki Piątek, niechybnie nastąpi koniec świata.” W XIII w. ruchy joachimickie, czyli dziedziczące spuściznę wielkiego wizjonera Joachima z Fiore głosiły, że ludzkość wkroczy w ostatnią, apokaliptyczną fazę w roku 1260. Lecz na dziesięć lat przed wyznaczonym czasem zmarł cesarz Fryderyk II, któremu w joachimickim scenariuszu przypisano rolę Antychrysta. Czy to z braku głównego aktora, czy może z powodu niedokładności obliczeń, znowu nic się nie wydarzyło. Nie

ostudziło to zapału filozofów i teologów: Mikołaj Kuzańczyk umieszczał datę końca świata gdzieś między rokiem 1700 a 1734, św. Wincenty mówił o roku 1412, Pico Della Mirandola – o 1994. Czescy taborcy oczekiwali końca świata w 1420 roku i przygotowali się do niego, tworząc na górze Tabor idealną społeczność. Kiedy nic nie nastąpiło, znaleźli wytłumaczenie – stwierdzili, że w tym roku Chrystus zstąpił do nich w postaci niewidzialnej i zostanie w niej aż do chwili, kiedy powtórnie przyjdzie już widzialny, sądzić cały świat.

Podobne przekonania mają między innymi adwentyści. Ich założyciel William Miller przeprowadził skomplikowany rachunek, z którego wynikało, że koniec świata nastąpi 22 października 1844 roku. Zwolennicy Millera oczekiwali tego dnia ubrani w białe szaty, z palmami w rękach. Po wielkim rozczarowaniu adwentyści poradzili sobie z problemem podobnie jak czterysta lat wcześniej tabo-

rycy – uznali, że Chrystus zstąpił do niewidzialnej „świątyni niebieskiej”, w której rozpoczął przygotowania do ostatecznego i widzialnego powrotu na Ziemię.

Im bliżej końca drugiego tysiąclecia, tym wyraźniej widać, że podobne niepokoje nie ominęły także naszych czasów. W 1992 roku pojawiły się ulotki pewnej koreańskiej sekty zapowiadające koniec świata na 24 października tegoż roku. W listopadzie 1993 roku byliśmy świadkami zajęcia soboru św. Zofii w Kijowie przez Wielkie Białe Bractwo, które w oczekiwaniu na dzień ostatni miało ukrzyżować swoją przywódczynię, Marię Cwigun, będącą nowym wcieleniem Chrystusa. Ósmego stycznia 1998 roku na Wyspach Kanaryjskich udaremniono zbiorowe samobójstwo członków sekty Centrum Holistyczne Izis, których, tuż przed wyznaczonym na godzinę 20 końcem świata, miał zabrać na pokład latający spodek.

21 grudnia ma nastąpić koniec czwartego świata. Jakie to będzie miało konsekwencje dla naszej planety, przekonamy się niebawem. Tymczasem bliskość tej daty rodzi najgorsze obawy.

Czas Apokalipsy



Podstawowym kanonem wyobrażeń związanych z końcem świata jest Apokalipsa św. Jana. Wywodzą się z niej najważniejsze motywy: katastrofy jako zwiastuny gniewu bożego, pojawienie się Antychrysta, tysiącletnie królestwo ziemskiej szczęśliwości i Sąd Ostateczny.

Dies irae

„... bo nadszedł wielki dzień Jego gniewu, a któż zdoła się ostać?” (Ap. 6, 17)

Najpełniejsze zestawienie znaków mających poprzedzić Sąd Ostateczny sporządził św. Hieronim: najpierw wszystkie morza i wody mają wzniesić się do góry na cztery łokcie. Następnego dnia opadną. Ryby, wieloryby i morskie potwory zgromadzą się w jedno miejsce i zaryczą jednym głosem. Morze zapali się, rośliny wydzielą krwawą rosę, ziemia się zatrząsie, a skały popękają i runą. Przerażone zwierzęta będą łasić się do ludzi, a pta-

ki z całego świata zlecą na jedno pole. Góry i pagórki zrównają się z ziemią. Gwiazdy spadną z nieba. Wszystko, co żyje, wyginie, a niebo i ziemia odnowią się przez ogień.

W naszych czasach miejsce dawnych proroków zajęli naukowcy. Mimo to katastroficzny scenariusz jest nie mniej ponury. Pojawiają się tajemnicze wirusy, wobec których medycyna jest bezradna. Seismologowie przewidują, że ruchy tektoniczne mogą spowodować zmianę kształtu kontynentów. Przesunięcie magnetycznych biegunów Ziemi doprowadzi do zmiany klimatu. Po globalnym ociepleniu nastąpi potop z roztopionych arktycznych lodowców. „Chmury wulkanicznych popiołów zakryją Słońce i nastanie ciemność...” brzmi to dość znajomo, tylko język się trochę zmienił.

Najistotniejszym apokaliptycznym wątkiem naszej epoki jest wojna jądrowa. Broń nuklearna kojarzy się z tajemniczą siłą: osłepiający blask

wybuchów, grzyby atomowe, skażenie ziemi, powietrza i wody, choroby popromienne – to poruszająca katastroficzna wizja, łatwo dająca się zaadaptować do dawnych proroctw. Przykład mieliśmy w Polsce w 1986 roku po awarii elektrowni w Czarnobylu. Niemal od razu z ust do ust zaczęła krążyć wieść, że katastrofa ta była wypełnieniem słów z Apokalipsy (Ap. 8, 10-11), mówiących o gwieździe Półun (po białorusku właśnie: Czarnobyl), która spadnie z nieba i zatruje wody.

Antychryst

„A liczba jego: sześćset sześćdziesiąt sześć.” (Ap. 13, 18)

Już od pierwszych wieków rozwijającej się szybko chrystologii towarzyszyła „antychrystologia”, dotycząca życia, działalności i wreszcie nieuniknionego upadku największego wroga ludzkości. W potocznym rozumieniu przywykło się utożsamiać Antychrysta z Szatanem, zbuntowanym archa-



niem, który został odtrącony i od wieków prowadzi walkę ze Stwórcą o panowanie nad światem. Ale w tekstach apokaliptycznych wyraźnie odróżnia się szatana od historycznego Antychrysta – tajemniczej postaci, która, jak wierzą, objawi się przy końcu czasów. Od wczesnych wieków chrześcijaństwa równolegle rozwijały się dwie tradycje: polityczna i mistyczna. Pierwsza powstała jako reakcja na prześladowania chrześcijan ze strony władzy świeckiej i odmalowywała antychrysta jako okrutnego cesarza, którym miał być „Nero redivivus” – wskrzeszony Neron. Przygasła nieco, kiedy chrześcijaństwo stało się religią państwową, ale odrodziła się i robiła karierę jako argument w sporach politycznych, zwłaszcza w trwającym kilkaset lat sporze papieństwa z cesarstwem. Papieże hojnie obdarzali przeciwników tytułem Antychrysta. Najzacieklej atakowany był Fryderyk II. Strona cesarska też nie próżnowała – podejrzany był każdy papież jako władca Rzymu – apokaliptycznego Babilonu. Sytuacja skomplikowała się, kiedy zaczęto obierać dwóch papieży i niezbyt zaszczytnego miana antychrysta używano niemal jak kurtuazyjnego zwrotu w wymianie zdań między Rzymem a Avignonem. Druga tradycja ukazywała Antychrysta jako fałszywego Mesjasza obdarzonego nadprzyrodzoną mocą. Tak przedstawiało go proroctwo tzw. Sybilli Tyburtyńskiej: „W tym czasie powstanie z pokolenia Dana książę niesprawiedliwości zwany Antychrystem. Będzie synem zatracenia, naczelnikiem pychy, mistrzem fałszu, pełnią wszelkiego zła, które ogranie świat i zdziała cuda i wielkie znaki, aby wprowadzić w błąd pobożnych ludzi.”

Istniała również inna wersja – „Antychryst zbiorowy”, identyfikowany z heretykami lub czasem z Żydami. W dobie konfliktu chrześcijaństwa z islamem utożsamiano przeciwnika z muzułmanami, a najbardziej ogólną definicję przedstawił Gerho z Reichensbergu, dla którego „kollektywny” Antychryst to, zbiorowość wszystkich, którzy sprzeciwili się Bogu i Kościołowi od czasów Kaina. Silnie działająca na wyobraźnię wiernych opowieść obrastała w liczne mity

i legendy. Nadejścia Antychrysta spodziewano się lada dzień. Antychryst poprowadzi siły Zła w wielkiej bitwie na polu Armagedonu, której wynik przesądzi o losach świata. Zwycięży Dobro, a Antychryst zostanie osądzony i wtrącony na tysiąc lat do otchłani.

Jeżeli jakaś postać w historii XX wieku jednoznacznie kojarzy się z Antychrystem, jest to na pewno Adolf Hitler. Tym samym II wojna światowa nabiera symbolicznego wymiaru jako Armageddon. Natomiast autor wydanej w latach 50. książeczki dotyczącej objawień fatimskich, identyfikuje z Bestią komunizm, powołując się na fragment z Apokalipsy, gdzie jest mowa o czerwonym smoku. Szczególnie istotny wydaje mu się fakt, że objawienie w Fatimie miało miejsce w październiku 1917 roku, a więc w tym samym czasie, kiedy Lenin i Trocki czynili ostatnie przygotowania do rewolucji. Oznacza to, jego zdaniem, że właśnie komunizm będzie wrogiem ludzkości, z którym przyjdzie się zmierzyć w XX wieku. Typując współczesnego Antychrysta warto przyjrzeć się interpretacjom słynnych centurii Nostradamusa. Jest tam mowa o Napoleonie (ze względu na brzmienie imienia podobne do greckiej nazwy Anioła Zagłady – Apollyona), Hitlerze i Mussolinim. Inna interpretacja głosiła, że tajemniczą, złowrogą postacią, o której mówiły proroctwa, był Saddam Hussein.

W rozpowszechnianej przez sektę w Korei broszurce można przeczytać, że już wkrótce mieszkańcy państw należących do Unii Europejskiej zostaną oznaczeni specjalnym kodem paskowym, zawierającym liczbę 666, którym będą posługiwali się zamiast pieniędzy. Jest to współczesna interpretacja słów Apokalipsy: „I sprawia, że wszyscy: mali i wielcy, bogaci i biedni, wolni i niewolnicy otrzymują znamię na prawą rękę lub na czoło i że nikt nie może kupić ni sprzedać, kto nie ma znamienia – imienia Bestii lub liczby jej imienia.” (Ap. 13,16 – 17) Strach przed liczbą Bestii musi być silny, skoro całkiem niedawno na ulice greckich miast wyległy procesje z krzyżami, by przy dźwięku dzwonów protestować przeciwko umieszczeniu trzech szóstek w numerze, przyznanym temu państwu przez Wspólnotę Europejską.

Motyw Antychrysta pojawia się w największych mitach kultury pop. W komiksach o Supermanie przebiera postać niegodziwego Lexa Luthora, który pragnie zniszczyć głównego bohatera, będącego uosobieniem dobra (nie zapominajmy, że litera „S” na kostiumie Supermana może także oznaczać „Salvator”, lub „Soter” czyli „Zbawiciel”. We *Władcy pierścieni* Tolkiena Antychryst pojawia się w postaci czarnoksiężnika Saurona panującego nad dziewięcioma czarnymi jeźdźcami, nazgulami, których wygląd odpowiada apokaliptycznemu opisowi aniołów zagłady. Cała historia kończy się Armageddonem – dramatyczną bitwą na polach Pelennoru. Przykład świata tolkienowskiego dowodzi, że mamy potrzebę wykreowania nowych mitologii, choć do ich zbudowania wykorzystujemy elementy starych wierzeń. Podobnie dzieje się w świecie filmowej trylogii *Gwiezdnych wojen*. Negatywny bohater, Darth Vader, zanim przeszedł na „ciemną stronę Mocy” był jednym z najznakomitszych rycerzy Jedi, podobnie jak Lucyfer, który przed swoim upadkiem był najwspanialszym z aniołów. Zwierzchnikiem Vadera jest Imperator. Mamy tu zatem podobnie jak w średniowieczu Antychrysta, który jest sługą Szatana, lecz nie samym Szatanem. Ten schemat powtarza *Piąty element* – hitleropodobny Zorg płaszczy się przed swym mocodawcą, tajemniczym Panem Cieniem, będącym personifikacją Zła, które w skoncentrowanej postaci zmierza w kierunku Ziemi.

Przetwarzany bez końca przez literaturę i film mit Antychrysta dowodzi, że dużo łatwiej dzisiaj odrzucić wiarę w transcendentnego Boga, abstrakcyjne niebo i piekło, niż odmówić realności wszechobecnemu w świecie złu.

Tysiącletnie królestwo

„lecz będą kapłanami Boga i Chrystusa i będą z nim królować tysiąc lat.” (Ap. 20, 6)

Po Armagedonie Mesjasz stworzy pod swym panowaniem szczęśliwe królestwo świętych. Początkowo wyobrażano je sobie na wzór Edenu, ziemskiego raju. W II wieku św. Ireneusz przedstawiał to tak: „...Nadejdą dni, w których zrodzą się winne latorośle, z których każda będzie mia-

Ryc. Sąd Ostateczny Michał Anioł fresk w Kaplicy Sykstyńskiej



ła dziesięć tysięcy gałęzi, a na każdej gałęzi po dziesięć tysięcy gałązek, a na każdej gałązce po dziesięć tysięcy odrośli, a na każdej odrośli po dziesięć tysięcy gron, a w każdym gronie po dziesięć tysięcy owoców, a każdy owoc przyniesie – gdy się go wycisnie – dwadzieścia pięć miar wina. I gdy ktoś ze świętych będzie chciał zerwać jedno z tych gron, drugie będzie wołało: Jestem lepszym gronem, zerwij mnie i przeze mnie chwal Pana! (...) Inne natomiast rośliny rodzic będą owoce, ziarna i ziola wedle miary, jaka im odpowiada. Wszystkie zwierzęta będą przyjmowały pokarmy, które rodzi ziemia i będą żyły w zgodzie i pokoju, a ludziom będą posłuszne z całym poddaniem.”

Obok takich dosłownych wyobrażeń pojawił się z czasem nurt symboliczny. Jego autorem był Joachim z Fiore, który podzielił dzieje świata na trzy ery: Królestwo Ojca, urzeczywistnione w srogim prawie Starego Testamentu, Królestwo Syna, zrealizowane w Nowym Testamencie i Królestwo Ducha Świętego, w którym oba te pisma dopełni żywa duchowa „wiecz-

na ewangelia”. Era Ducha to właśnie tysiącletnie królestwo, widziane oczami mnicha i mistyka: cała ludzkość zmieni się w „niewinną dziatwę”. Podobni aniołom ludzie będą żyć w ciszy pustelni, w stanie oświecenia, pochłonięci kontemplacją Boga.

Współczesną wersję tysiącletniego królestwa głoszą wyznawcy filozofii New Age. W obrębie tej ideologii mieści się mnóstwo rozmaitych systemów, ale scenariusz zazwyczaj jest taki sam. Mówi on o tym, że w naszych czasach zakłócona została naturalna równowaga kosmiczna. Nieustające wojny, marnotrawienie zasobów energetycznych, ingerencja w prawa przyrody – wszystko to musi doprowadzić do ostatecznego kataklizmu, którego celem będzie przywrócenie światu równowagi. Rozszalałych sił nikt nie będzie w stanie powstrzymać i wkrótce cała nasza cywilizacja zostanie zniszczona. Ale świat przetrwa katastrofy i gdy ponownie wyłoni się z zamętu, będzie głęboko oczyszczony. Rozpadną się dotychczasowe struktury i dogmaty, bo cechą Ery Wodnika będzie przede wszystkim wolność.

Zniweczone zostaną wszelkie granice i zapanuje jedna, uniwersalna religia, w której przenikać się będą elementy różnych systemów. Nowym społeczeństwem rządzić będzie zasada powszechnego braterstwa. Ludzie będą żyli w małych, samowystarczalnych wspólnotach. Zjednoczeni z przyrodą i ze sobą nawzajem nie będą już potrzebowali języka, aby się porozumiewać – wielu autorów wspomina o komunikacji telepatycznej.

W taki sposób spełnia się w ideologii New Age wizja Joachima z Fiore. Era Wodnika to zapowiedziane przez niego Królestwo Ducha, gdzie urzeczywistniane są ideały prostoty, ubóstwa i miłości. Uniwersalną religię można porównać do joachimowej „wiecznej ewangelii”. Nie można jednak przeoczyć podstawowej różnicy: w tysiącletnim królestwie Joachima i jemu podobnych myślicieli zawsze panował Bóg. Natomiast religijność proponowana przez New Age służy raczej swego rodzaju duchowej terapii. Ma pomóc ludziom wznieść się na wyższy poziom duchowy. Bóstwo jest tutaj kosmiczna Mocą, wszechogarniającą Energią, Całością, w której zawiera się mikrokosmos – człowiek. Jest on częścią Boga, a więc jest Bogiem. W ziemskim raju Ery Wodnika to właśnie on obejmie panowanie.

Sąd Ostateczny

„I osądzono zmarłych z tego, co w księgach zapisano, według ich czynów.” (Ap. 20, 12)

Po ostatniej już walce, kiedy Antychryst zostanie na wieki wtrącony do otchłani ziejącej ogniem i siarką, nastąpi zmartwychwstanie wszystkich umarłych. Według tradycji zgromadza się oni na Sąd Boży w Dolinie Jozafata. Stanie tam biały tron, na którym zasiądzie Sędzia. Następnie zostaną otwarte księgi, w których zapisano wszystkie dobre i złe uczynki. Przystanie obowiązywać surowe prawo śmierci i wszyscy, zarówno sprawiedliwi jak i grzeszni, zostaną od niej uwolnieni. Każdy będzie osądzony z osobna. Ci, których imiona widnieją w Księdze Życia otrzymają w nagrodę życie wieczne. Wszyscy inni będą potępieni na wieki.

Maciej Saskowski

„Franek, do roboty...”

Choć do rozpoczęcia mistrzostw Europy pozostało niewiele czasu, tekst z reklamy znanego piwa jest wciąż tak samo aktualny.

Im bliżej czempionatu Starego Kontynentu, tym bardziej każdy z nas, bo przecież wszyscy kochamy futbol, zadaje sobie wiele pytań dotyczących organizacji logistycznej oraz przede wszystkim naszej reprezentacji.

Franciszek Smuda, składając życzenia świąteczne, powiedział: „Kibicom życzę, aby zostawili dużo zdrowia na Euro 2012, (...) i żebyśmy się wszyscy zjednoczyli”. Obydwa życzenia są spełnione praktycznie już dziś.

To, że jesteśmy z kadrą, wiadomo było od zawsze. Wszyscy zazdroszczą nam kibiców, którzy z pewnością będą podchodzili bardzo emocjonalnie do spotkań podczas Euro, „zostawiając” sporo nerwów na boisku.

Smuda podkreśla, że szeroką kadrę ma już prawie gotową. Tymczasem moim zdaniem nie mamy mocnej pierwszej jedenastki, nie mówiąc już o zmiennikach. To pojęcie u nas nie istnieje, przynajmniej w słowniku naszego selekcjonera.

Mateusz Borek stwierdził ostatnio, że trener powinien modlić się o zdrowie naszych kluczowych graczy, czyli Lewandowskiego, Błaszczykowskiego, Piszczka i Szczęsnego.

Na pewno coś w tym jest, bo chyba nikt nie wyobraża sobie braku któregośkolwiek z tych zawodników. W każdej reprezentacji są liderzy, a zadaniem selekcjonera jest – między innymi – znalezienie ich zmienników oraz przetestowanie ustawienia na wypadek kontuzji, które mogą przydarzyć się – odpukać! – tuż przed turniejem.

Na to właśnie Franciszek Smuda miał czas, który powoli dobiega końca.... Uważam, że jedynym wartościowym napastnikiem naszej obecnej ekipy jest Robert Lewandowski.

Sztab szkoleniowy bierze jeszcze pod uwagę niegrającego Artura Sobiecha, Ireneusza Jelenia, który dosyć długo nie mógł znaleźć klubu najprawdopodobniej ze względu na zbyt wygórowane wymagania finansowe i ciągle nie może odzyskać dawnej formy oraz pierwszego zmiennika „Lewego”, czyli nieradzącego sobie w lidze tureckiej Pawła Brożka.

Krótko mówiąc Robert nie posiada zmiennika, dlatego raczej na pewno zagramy jednym napastnikiem. Można było jednak przećwiczyć również inne warianty gry, choćby Kamila Grosickiego jako cofniętego napastnika. Taką rolę spełnia czasem, jednak bez rewelacji, Adrian Mierzejewski. „Grosik” jest szybki, dynamiczny, dobrze prowadzi piłkę i mógłby wspomagać nominalnego napastnika, Roberta Lewandowskiego lub – w przypadku nie daj Boże jego kontuzji – Pawła Brożka, który miałby wsparcie w szybkim Kamili i przestałby, wychodząc na boisko jako jedyny atakujący, wyglądać na „zagubionego”.

Jakub Błaszczykowski jako kapitan zawsze zostawia serce na boisku i chyba tego najbardziej by brakowało, gdyby był na nim nieobecny. Nie da się ukryć, że Kuba jest daleki od swojej najlepszej dyspozycji, mimo to jest ostatnio częściej wpuszczany do gry niż Jürgen Klopp i – miejmy nadzieję – wszystko zmierza ku lepszemu.

W drugiej linii, gdzie na skrzydle mogą zagrać „Grosik” oraz Sławomir Peszko, jest lepiej niż w ataku. Kolejnym problem są zmiennicy Łukasza Piszczka. Jakub Wawrzyniak zupełnie nie zdaje egzaminu w tej roli. Mimo tego, że jest wolny i przy stałych fragmentach gry często gubi krycie, Franciszek Smuda stawia właśnie na niego.



Na szczęście jest Marcin Wasilewski. Dla mnie to on jest zmiennikiem numer jeden Łukasza.

Tutaj również można było przećwiczyć kilka innych wariantów. Choć wybór nie jest zbyt duży, w porównaniu z drugą stroną defensywy, nie jest najgorzej.

Pozycją, z którą nie ma problemu, a raczej nie byłoby go, gdyby nie charakter Franciszka Smudy, jest pozycja bramkarza. Wojciech Szczesny to bez wątpienia świetny *goalkeeper*, ale jest młody i – mimo, iż gra w Arsenalu, w jednej z najsilniejszych lig, lidze mistrzów, na boisku może „wyjść” jego brak doświadczenia. Czy nie lepiej byłoby, gdyby czuł na plecach „oddech” kogoś „mocniejszego” od siebie? Fabiański jest tylko jego zmiennikiem w Arsenalu, Tytoń wraca po kontuzji, Sandomierski po transferze do Genk zaprzepaścił praktycznie szanse na Euro. Jest jeszcze... Boruc, który mierzy się na co dzień z takimi klubami jak Milan, Juve czy Inter i zbiera bardzo dobre noty, a do tego – co najważ-



niejsze – ma charyzmę, która mogłaby pomóc Szczęsnemu. Motywowałby Wojtkę samą obecnością. Nawet jeśli z tego duetu Smuda pierwszoplanową rolę powierzyłby Szczęsnemu, Boruc z pewnością przyczyniłby się do zwiększenia ilości potu wylanego przez młodszego kolegę na treningach i motywował przed meczami.

O personaliach można by mówić w nieskończoność. Prawda jest taka, że nasz selekcjoner nie posiada dużego zaplecza i nie dysponuje zbyt wielkim potencjałem. Gdyby jednak dobrze spojrzal dokoła, zauważyłby z pewnością kilku młodych graczy i przestałby stawiać na naturalizowanych przeciętniaków oraz chuchać na naszych liderów.

Wszyscy cieszymy się z wylosowanej grupy, a ja mam pewnego rodzaju *déjà vu*. Czyż nie tak samo bywało podczas ostatnich wielkich turniejów? Mundial w 2002: słaba Korea, Portugalia i Stany Zjednoczone, a dała znać o sobie nasza szesnastoletnia absencja na wielkim turnieju i kompletny brak

przygotowania; MŚ w Niemczech i chybione powołania Pawła Janasa (m. in. brak bohatera tamtych eliminacji – Tomasza Frankowskiego i porażka na inaugurację z Ekwadorem), a na koniec Euro 2008, podczas którego zabrakło odpowiedniej taktyki i jej ewentualnych egzekutorów.

Teraz wszyscy mówią: „Grecja, Czechy i Rosja, czyli ćwierćfinał pewny...” A przecież Grecy – mistrzowie Europy z 2004 roku, bywają nieprzewidywalni. Owszem, to inne pokolenie, ale mające w wielu ligach młodych zawodników grających w pierwszych składach. Liga rosyjska jest mocna, a wielu Rosjan gra w dobrych zagranicznych klubach. Czesi to także coś nowego czego od kilku lat już nie mieli i także duży znak zapytania. Oby tylko znów nie okazało się, że losowanie było dla nas fantastyczne, ale później... no właśnie, co później?

Podczas ostatnich wielkich turniejów jedną, może nawet najważniejszą, z cech naszej reprezentacji był... zupełny brak przygotowania fizycz-

nego. Jeśli chcemy coś „ugrać” pośród najlepszych drużyn Starego Kontynentu, musimy nad tym popracować. Nikt chyba nie ma złudzeń, iż wystarczy wyszkolenie techniczne oraz wykorzystanie ataku pozycyjnego. Być może dlatego Franciszek Smuda wspólnie z PZPN-em zdecydowali, że na zgrupowanie przed Euro, którego jesteśmy współgospodarzami udajemy się do... Austrii, mimo, że mamy kilka dobrze przygotowanych miejsc jak choćby chwalona przez naszego trenera baza w Grodzisku u pana Drzymały. Można byłoby w tym kontekście przywołać życzenia Smudy o budowaniu atmosfery, próbie zjednoczenia. Czyż nie byłoby wielką sprawą, gdyby nasi zagrali mecze tuż przed Euro w Polsce, przy pełnej publiczności? To chyba właśnie między innymi jest budowanie atmosfery i jedności...

Podsumowując, zostało pół roku. Może wydawać się, że to dużo. Jednak poza meczem z Portugalią w lutym, pozostaną jedynie majowe spotkania podczas wspomnianego zgrupowania w Austrii z Łotwą i Słowacją, natomiast bezpośrednio przed Euro zagramy z Malcią lub Lichtensteinem. Franciszek Smuda po każdym meczu powtarza: „Dobrze, że błędy zdarzają się teraz, a nie w czasie Euro”. Owszem, to prawda, ale do mistrzostw zostało już bardzo niewiele czasu, a ze względu na to, że w maju zagramy już w składzie zgłoszonym na turniej, będzie za późno na ewentualne poprawki, nie mówiąc już o diametralnych zmianach. Niestety im bliżej 8 czerwca, mam wrażenie, że zamiast odpowiedzi pojawia się coraz więcej pytań, a najgorsze w tym wszystkim jest to, że nowe zapytania powstają na nasze własne życzenie. Mimo to „balon” oczekiwani jest – jak zawsze – mocno pompowany. Oby tylko znów nie pękł z wielkim hukiem. Z całą pewnością nasi rywale mogą obawiać się jednego – dopingu naszych kibiców. Niestety nie zapewni nam on wyjścia z grupy... Jak wszyscy wiedzą, kibice to „dwunasty zawodnik”, jednak do sukcesu potrzebna jest „pozostała jedenastka”, która będzie w stanie go wywalczyć...

Jakub Harańczyk

Święta, święta...

...i po świętach. Chyba większość z nas słyszała to powiedzenie z ust babci, mamy, ciotki a może nawet rówieśników. A co słyszeliśmy w czasie świąt? Jakie tematy były poruszane przy wigilijnym stole?

Choroby

Chyba najczęstszy temat podczas wigilijnej kolacji. Czy ktoś z Was nie słyszał w tym roku o problemach z korzonkami wujka Zbyszka i o nadciśnieniu koleżanki siostry szwagra cioci Zosi? Następstwem tego tematu jest uzalanie się nad sobą wszystkich członków rodziny i zepsucie atmosfery, zazwyczaj chwilowe. Na szczęście często w takich sytuacjach wkraczają do akcji gawędziarze.

Gawędziarze

„Za moich czasów...” to zdanie rozpoczyna monolog dojrzałego i doświadczonego mówcy. Najczęściej takowym jest dziadek. Wspomina o wojnie, opowiada zabawne anegdotki, które mają rozbawić zasnuconą tematem chorób rodzinę, a także przytacza wiele dowcipów z czasów swojej młodości. To nic, że większość z opowiadań słyszeliśmy już kilka razy. Wciąż bawią i ciekawią tak samo. Po wspominkach dziadka dyskusja najczęściej zwinnie koncentruje się na ulubionym temacie – polityce.

Polityka

Tu do rozmowy włączają się nawet najmniej obeznane w zagadnieniu osoby. Zarówno babcia coś wtrąci jak i wujek Włodek przedstawi swoją wizję zmieniania świata na lepsze. Ogólne narzekanie na panującą władzę, to temat rzeka podczas rodzinnych spotkań.

Zainteresowanie młodszymi

W rozmowach na powyższe tematy zazwyczaj młodzież nie bierze udziału, ale oczywiście mogą wykazać się w późniejszym dialogu. Szansę tę zazwyczaj dają ciotki, które wypytują, co słychać w szkole. Uczniowie podczas przerwy świątecznej wprost uwielbiają o niej rozmawiać. Na pewno w tym roku nie zabrakło też naszego ulubionego tematu – pytań o życie uczuciowe. Wzrok wszystkich członków rodziny jest skierowany wtedy na nas, a na ich twarzach widać oczekiwanie na radosną nowinę o rychłym ślubie. A my, zakłopotani, z rumieńcem na twarzy, niestety nie jesteśmy zbyt rozmowni. Kiedy rodzina po jakimś czasie wyczuje, że nie chcemy wypowiadać się w sprawie uczuć, sama przejmuje inicjatywę. Swatają, przeżywają, jacy dawniej byliśmy mali, a teraz tak wyrosliśmy. Bo przecież jeszcze niedawno wujek Franek trzymał nas na kolanach.

Potrawy

„Jakie to wszystko pyszne”, „Helciu, ale się napracowałaś”, „Ale jestem najedzony”, „Przez tydzień nic nie będę jadł” – czyli rozpoczyna się rozmowa o jedzeniu. Odbywa się zachwalanie specjalów gospodyni i zapewnianie o noworocznej diecie. Tu do akcji wkraczają babcie, które nakładają nam na talerz kolejne dokładki. Trzeba być urodzonym dyplomata, aby przekonać babcię, że nie jest się głod-

nym. Oczywiście ilość pożywienia jest przewidziana prawdopodobnie dla całego wojska, a nie dla kilkunastu osób zasiadających przy wigilijnym stole. A potem przez tydzień mama wypycha w nas jedzenie z wigilii. Po zachwalaniu potraw dziadek wyjmuje skrytą na dnie szafy butelkę jakiegoś trunku i częstuje wszystkich porcją „na dobre trawienie”. A potem z kieliszka robią się trzy, potem z trzech kieliszków robi się kolejna butelka. Następnie odbywa się śpiewanie kolęd, aż w końcu większość w doskonałych humorach wybiera się na pasterkę.

A jakie wigilijne tematy były u Was? Prawdopodobnie u większości wyglądało to podobnie. Spojrzałam na kolację wigilijną z przymrużeniem oka, ale i tak nie wyobrażam sobie, aby ten wieczór mógł wyglądać inaczej. Doceniam, że mogę ją spędzić z osobami, które są dla mnie najważniejsze. Niestety, do następnego takiego rodzinnego spotkania trzeba czekać aż rok!

Iza Adamiec

Sylwestrowe szaleństwo

Kilka dni temu cały świat pił szampana, wiwatował, imprezował i podziwiał pokazy fajerwerków. Wszystko to dzięki tradycyjnemu w naszej kulturze Sylwestrowi. Skąd właściwie wziął się ten radosny zwyczaj? Za wszystkim stoją trzy postacie: wróżka, smok i papież.

Otóż, w starożytnej Grecji kobiety przepowiadające przyszłość nazywane były Sybillami. Postacie te były bardzo szanowane w społeczeństwie, ponieważ królowie i inni możni ówczesnego świata zgłaszali się do nich po rady w sprawach społecznych i gospodarczych. Kobiety często jednak wróżyły smutek, niepowodzenia a nawet tragedie.

Jedna z Sybilli przepowiedziała kiedyś, że w nocy na przełomie 999 i 1000 roku ze snu obudzi się smok Lewiatan, który przed laty został pokonany i uwięziony przez papieża Sylwestra I. Jego obudzenie nie było jednak najgorszą częścią przepowiedni. Wróżba mówiła, że następca watykańskiego tronu – Sylwester II ma wypuścić bestię na wolność, ta natomiast zniszczy świat i uśmierci tysiące ludzkich istnień. Wielu utożsamiało Lewiatana z postacią Szatana i opierało swoje przekonania na Apokalipsie św. Jana i opisach końca świata, które się w niej znajdują. Wróżba, faktycznie, nie najlepsza. Obawy ludzi były tym większe, im bliższa noc. Tak więc wraz z nadejściem roku 999 wiara w sybilijską przepowiednię na tyle mocno ożyła na terenie Europy, że wielu ludzi zaczęło przygotowywać się na nadejście dnia trwogi. Niektórzy sprzedawali swoje majątki, inni spędzali swoje ostatnie dni na ziemi najlepiej jak potrafili, jeszcze inni zbierali żywność i próbowali znaleźć schronienie. W panice spowiadali się, czynili pokutę, spędzali czas z bliskimi. Wszyscy rozmawiali właściwie tylko o zbliżającym się końcu świata. Nastroje pełne strachu i przygotowania na apokalipsę nazwano później kryzysem milenijnym.



Kiedy nadeszła ta wyjątkowo niechciana noc, wszyscy gromadzili się przy swoich najbliższych. Dzwony były w kościołach, ulice pustoszały, a wierni modlili się i zapewniali się wzajemnie o swoich uczuciach. Trudno sobie wyobrazić, co czuli ludzie oczekujący na północ. Gdy w końcu nastąpiła, ziemia nie zadrżała, nie dało się słyszeć otwieranej bramy ani smoczego ryku. Nie stało się zupełnie nic. Nastąpiła konsternacja i niedowierzanie. Przecież było pewne, że wszyscy zginą? Czy nastąpiła pomyłka w datach, smok zmienił zdanie, a może papież nie spełnił przepowiedni? Ludność, która jeszcze przed paroma godzinami sparaliżowana była strachem, zaczęła świętować na ulicach miast, upijać się, gratulować sobie przeżycia tej „katastrofy”, a także życzyć „szczęśliwego nowego roku”.

Sylwester II zapewne też odechnął z ulgą, po raz pierwszy udzielił wówczas błogosławieństwa noworocznego, najpierw dla Rzymu potem dla całego świata. Po tej historii, czy też histerii, zapisał się na stałe w ludowych opowieściach, ponieważ to jemu przypisano zwycięstwo nad Lewiatanem. Imieniem Sylwestra nazywa się ten szczególny dzień.

Z upływem wieków zabawy noworoczne nabierały rozmachu, bogactwa i swoistego blichtru. Dziś nieprawdopodobna wydaje się świadomość, że każdego roku miliony bawiących się ludzi, upajających się litrami szampana, świętuje właśnie „pokonanie” smoka i niespełnienie się wróżby greckiej wieszczki. Cóż... mówią, że każda okazja jest dobra, by trochę się zabawić.

Ewa Sulewska

8 stycznia, po raz dwudziesty ruszyło „Wielkie Granie” w całej Polsce, ale też i w wielu miejscach na świecie. W tym roku zbierano pieniądze na zakup najnowocześniejszych urządzeń do ratowania życia wcześniaków oraz pomp insulinowych dla kobiet ciężarnych z cukrzycą.

WOŚP, czyli wielka zrzutka ludzi o wielkich sercach

Jak co roku, od 20 lat, tak i tym razem Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy zawładnęła sercami milionów Polaków na całym świecie. W dniu finału, chyba nie dało się widzieć na ulicy kogoś, kto by nie miał przyklejonego czerwonego serduszka na kurtce czy torebce. I jak co roku prócz radości związanej z pomaganiem, pojawiły się też pytania: czy Orkiestra jest potrzebna naszemu społeczeństwu i czego tak naprawdę uczy?

Granie z pompą

Grano nie tylko u nas w kraju, akcja Jurka Owsiaka dotarła także w różne zakątki świata. I tak finał zagościł między innymi w Brukseli, Irlandii, Wlk. Brytanii, a nawet w Ghanii w Afganistanie. Zbierano pieniądze na różne sposoby. Około 120 tys. wolontariuszy kwestowało od najwcześniejszych godzin rannych rozdając, w zamian za symboliczne kwoty, czerwone serduszka WOŚP. Licytowano przeróżne przedmioty, m. in. kultowe już złote serduszka oraz finałowe karty telefoniczne. W akcje ochoczo włączyły się znane osobistości ofiarując na licytacje przeróżne, nieraz bardzo cenne lub wyjątkowe, przedmioty. W sumie z ponad 34 tys. aukcji zebrano już blisko 3 mln zł. Cała akcja nie powiodłaby się także bez wsparcia wielu sponsorów. Warto wspomnieć, że ogromna ilość pieniędzy „przysłała” drogą sms-ową oraz dzięki systemowi wpłat za pomocą kart kredytowych. Tego dnia zagrano wiele koncertów w całym kraju, większość artystów nie pobrała za to żadnego honorarium. Relacje na żywo można było oglądać

w telewizjach TVP i TVN oraz w Internecie, a także wysłuchać w Programie Pierwszym Polskiego Radia. Punktem kulminacyjnym finału był happening pt. „Światelko do Nieba”, który co roku rozpoczyna się o godz. 19.55. Towarzyszy mu zazwyczaj pokaz sztucznych ogni, co i tym razem było w wielu miejscach imponującym zwieńczeniem całonocnej akcji. Już wiadomo, że rekord zebranych pieniędzy zostanie prawdopodobnie ponownie pobity, jeszcze w dzień finału do fundacji WOŚP wpłynęło ok. 40,2 mln złotych, a to nie jest ostateczna

kwota, aukcje prowadzone będą jeszcze do końca lutego.

Czy warto?

Oczywiście, dla niektórych pytania o sens fundacji mogą się wydawać całkiem niezrozumiałe, bo przecież Orkiestra już od lat pomaga chorym dzieciom, kupuje sprzęt medyczny, którego szpitale nie są w stanie zapewnić swoim pacjentom. Jednak każdego roku, w związku z finałem WOŚP, słychać też głosy przeciwników inicjatywy Jurka Owsiaka. Twierdzą oni, że fundacja przeznaczająca tylko niewielką





Fot. wosp.org.pl

część zbieranych pieniędzy na zakup specjalistycznych urządzeń, reszta ma iść rzekomo na „dostatnie” życie Owsiaka. Po wysłuchaniu takich oto zarzutów, można się po raz kolejny przekonać, że w Polsce zawsze musi się znaleźć ktoś, kto musi ponarżać na coś, z czego my Polacy, powinniśmy być po prostu dumni. Bo przecież WOŚP jest naszym dobrem narodowym. Dlaczego znajdują się ludzie, którzy doszukują się jakichś brudnych interesów, w czymś, co nie się pomoć tym, którzy tego naprawdę potrzebują? O sens zbiórki wystarczy

zapytać rodziców chorych dzieci, którym sprzęt zakupiony przez fundację uratował życie. Myślę, że oni są jedynie wdzięczni za szansę życia daną ich pociechom. Uważam jednak, że przeciwnicy WOŚP nie są w stanie popsuć całej atmosfery, jaka towarzyszy jej działalności od lat – polskie społeczeństwo dobrze odbiera całą akcję i hojnie ją wspiera. W tym roku pewnie znowu zostanie pobity rekord zebranej sumy pieniędzy. To potwierdza fenomen Orkiestry, która potrafi zmobilizować miliony ludzi, również za granicą naszego kraju, do

„wielkiej zrzuty”. Jak widać są ludzie o wielkich sercach, którzy wspierają fundację finansowo. Ale są też wolontariusze, bez nich „Wielkie Granie” nie miałoby sensu. To bardzo ważne, że potrafimy pomagać potrzebującym, na różne sposoby. W przypadku wolontariuszy jest to poświęcenie, a każdy z nas może dorzucić swoją, nawet symboliczną, „cegielkę” do budowy tak wielkiego dzieła, jakim jest pomoc chorym dzieciom. Ja natomiast mam nadzieję, że WOŚP będzie grała „do końca świata i o jeden dzień dłużej!”.

M.A.

Masz ochotę trochę się rozerwać, potrenować sporty zimowe
a nie chcesz wyjeżdżać poza Kraków? Wybierz się na lodowisko!

Czas na łyżwy

Zima w tym roku nie dopisuje, ale na lodowisku zawsze można poczuć powiew mroźnego powietrza. Nie od dziś wiadomo, że ruch wpływa pozytywnie na nasze zdrowie i samopoczucie. Jeżdżąc na łyżwach wyrabiamy sobie mięśnie nóg i pracujemy nad równowagą. Ponadto aktywność fizyczna wzmacnia wydzielanie endorfiny, czyli hormonu szczęścia, więc nawet największy sztywniak w końcu się uśmiechnie.

Nie umiesz jeździć? Nigdy nie stałeś na lodzie? Nic nie szkodzi. Zawsze możesz ręką przytrzymać się bandy i tym samym trochę przeczścić ją z kurzu. Takich osób jest naprawdę sporo, sama od tego zaczynałam.

Najtrudniejsze jest pierwsze spotkanie z lodem. Na początku nogi trzęsą się jak galareta, ale wystarczą dwa czy trzy wypadki na lodowisko i już można szarżować niczym gwiazdy w tańcu na lodzie. Boisz się, że upadniesz i nabijesz sobie guza? Nie martw się, na pewno nie będzie tak źle. Może akurat jakiś przystojny незнаjomy poda Ci rękę i pomoże wstać. Lodowisko stwarza całkiem niezłe warunki na poznawanie nowych ludzi. Poza tym zawsze można pojeździć z kimś znajomym za rękę. Wtedy jest dużo łatwiej i bezpieczniej. Jeśli ktoś się komuś podoba to taka jazda za rączki to wymarzona sceneria na randkę.

Na lodowisku trzeba też pamiętać o innych fanach tego lodowego szaleństwa. Ważne jest, aby w kogoś przez przypadek nie wjechać. Na lodzie, tak jak w życiu – *savoir vivre* obowiązuje!

Poza tym wspólny wypad na łyżwy ze znajomymi zacieśnia więzi, zbliża. Po zdjęciu łyżew dla ocieplenia lodowej atmosfery można wybrać się na grzane piwo, czy kielbaskę i oranżadę z niebieskiej nyski, która regularnie parkuje przy Hali Targowej blisko lodowiska. Pijąc tę oranżadę ze szklanej butelki na pewno przypomnicie sobie smak błędnego dzieciństwa. To kolejny plus wypadu na lodową taflę. Nie marnujcie, więc czasu – pora na łyżwy!

Terminy otwarcia lodowiska Cracovii
znajdziecie na stronie:

<http://www.cracovia.pl/hokej/slizgawki>

Sylvia Juszkiewicz



Święta już za nami. I tym razem telewizja i producenci filmowi nas nie zawiedli. Mieliśmy kolejny wysyp bożonarodzeniowych produkcji. Nawet Polacy dali coś od siebie. Słaby i niezbyt oryginalny obraz „Listy do M.” wypełnił kieszenie twórców. Na szklanych ekranach w naszych domach nie zabrakło też Kevina i innych telewizyjnych „projektów”.

Filmy na święta

Chciałbym Wam opowiedzieć o filmach świątecznych, które rzadko można zobaczyć w telewizji. Nie o tych romantycznych komediach, do których jesteśmy przyzwyczajeni, od których aż mnie mdli. Przedstawię kilka obrazów, które mogą dać prawdziwą rozrywkę, a może nawet uchronić od zwariowania.

Na miejscu piątym mojego zestawienia znalazł się „Zły Mikołaj” z 2003 roku. Historia zapijaczzonego złodzieja, który w stroju Mikołaja rabuje domy. Wszystko w jego życiu zaczyna się zmieniać, gdy trafia na ośmioletniego chłopczyka. Widzimy jak główny bohater próbuje wyzbyć się złych nawyków. Wszystko trochę banalne i zbyt hollywoodzkie, ale gra aktorska Billa Boba Thortona wynagradza niedociągnięcia. Pokazny zarost i butelka taniej whisky w ręce przebranego przestępcy poprawiają humor. Naprawdę dobra rozrywka, szkoda tylko, że z tak oklepanym przekazem końcowym.

Miejsce czwarte należy do telewizyjnej produkcji BBC z 2006 roku „Wiedźmikołaj”. Porządnie zrobiona ekranizacja prozy Terrego Pratchetta. Na życie naszego przyjaciela w czerwonym kubraczku dybie pan Herbatka „z akcentem na ‘a’”. Porywa go i nie ma, kto roznosić prezentów grzecznym dzieciom. Tego zadania podejmuje się sam Śmierć. No dobrze, ale kto zastąpi żniwiarza? Wypada świątecznie odnowić kontakty z rodziną i poprosić o pomoc córkę, która będzie musiała zmienić swoje życie. Wspaniała rozrywka nie tylko dla fanów twórczości Pratchetta. W przeciwieństwie do naszych rodzinnych produkcji telewizyjnych, film jest zrobiony bardzo profesjonalnie. Idealny sposób na zabicie czasu między śniadaniem a kolacją wigilijną.

Teraz trochę bardziej na poważnie i swojsko. Na miejscu trzecim uplasowałbym obraz Janusza Morgensterna z 2000 roku „Żółty szalik”. Jest to film telewizyjny z serii „Polskie Święta” i trwa około godziny. Odbiega on jednak od typowych projektów tego typu i bardziej przypomina produkcję kinową. Czy alkoholik może się zmienić? Czy po-

moc rodziny wystarczy? Właśnie na te pytania próbuje odpowiedzieć reżyser. Oglądamy upadek człowieka, którego bezimiennność wzmacnia cały przekaz. Jego miotanie się w świecie, w którym nie potrafi się odnaleźć, może sprawić, że więcej nie sięgniemy po kieliszek. Nie można tu nie wspomnieć o wspaniałej roli Janusza Gajosa. Czysta przyjemność z odbioru, który zostawia moralnego kaca. Gorzkie, solidnie zrobione kino.

Było śmiesznie, dziwnie, smutno, a teraz pora na animację. Na miejscu drugim znalazł się film „Miasteczko Halloween” z 1993 roku. W produkcji zamieszany jest Tim Burton, chyba bardziej zachęcać nie trzeba. Przeżywamy wycieczkę do świata koszmarów, gdzie główny bohater chce wprowadzić Boże Narodzenie. Pomagają mu w tym przyjaciele, którzy porywają Mikołaja i dekorują swoje domy. Jak to często bywa, i tym razem pojawia się ktoś chętny na zniszczenie sielanek i czyjś szczęście. Nie można też zapomnieć o soundtracku. Piosenki wpadają w ucho, aż chce się nucić. Pomysł na zajęcie i wystraszenie młodego kuzynostwa, a dla nas świetna zabawa.

Miejsce pierwsze i mój ulubiony świąteczny film, to „Cicha noc, śmierci noc” z 1984 roku. Mam słabość do slasherów i bardzo się cieszę, że powstał jakiś w tym klimacie. Młody Billy jest świadkiem zabójstwa rodziców, popełnionego przez świętego Mikołaja. Po incydencie chłopiec trafia do sierocińca, gdzie dorasta z nękającymi go koszmarami. Po opuszczeniu sierocińca bohater wkłada czerwony strój dobroczyńcy i zaczyna mordować. Oczywiście jest to rozrywka bez głębszego sensu, ale sam tytuł nie sugeruje Bergmanowskiej wycieczki w zakamarki umysłu. Pierwsze miejsce na mojej liście świątecznych bestsellerów może Was zdziwić a niektórych zszokować, jednak w zalewie słodkomdłających produkcji warto czasem zmienić nastrój...

Polecam przedłużyć świąteczną gorączkę i obejrzeć wspomniane tytuły, a przy okazji przygotować się już na następne Boże Narodzenie. Jestem pewien, że będziecie się przy nich bawić tak dobrze jak ja.

Rafał Christ

Najnowszy film Agnieszki Holland „W ciemności” wywołał niemałe zamieszanie w środowisku filmowym. Jest to opowieść o splecionych losach grupki Żydów i Polaka, który pomaga im ukrywać się w kanałach po likwidacji getta we Lwowie. Opowieść ukazująca okrucieństwo wojny, walkę o przetrwanie, zachowania ludzkie w ekstremalnych warunkach.

W mroku wojny

Akcja rozgrywa się w wojennym Lwowie, gdzie przez 14 miesięcy w tamtejszych kanałach ukrywa się grupa Żydów, ocalałych po rzezi w getcie. W przetrwaniu w tych okropnych okolicznościach pomaga im Poldek Socha (Robert Więckiewicz), kanałarz, drobny złodziejaszek, typowy cwaniaczek. Początkowo jest to pomoc w zamian za pieniądze. Z czasem bohater zmienia swoje nastawienie do swoich „podopiecznych”, zauważa, że są to tacy sami ludzie jak on. Nie traktuje ich już jak klientów, zwykłych „żydków”, ale jak ludzi bliskich. Wbrew racjonalnemu rozumowaniu i twardych zasad wojny naraża dla nich życie swoje i własnej rodziny. Natomiast wśród ukrywających się są ludzie, którzy przed wojną nawet by ze sobą nie rozmawiali, łączy ich tylko wspólny los i chęć przeżycia. Dlatego schodzą do podziemi, by żyć tam w parszywych warunkach, próbując zachować przy tym, mimo wszystko, elementy „normalnego życia”. I tak na ekranie możemy zobaczyć miłość, seks, kłótnie, zabawy dzieci, modlitwę, załamanie, agresję, radość z małych rzeczy – to wszystko rozgrywa się w kanałach. Wszystkie te wydarzenia są autentyczne, zostały zresztą opisane w książce zatytułowanej „Dziewczynka w zielonym sweterku” autorstwa jednej z uratowanych – Krystyny Chigier. Tak więc jest to obraz bez żadnych ubarwień, czy patosu, w przeciwieństwie do wielu produkcji poruszających temat Holocaustu. Żydzi nie są tutaj pokazani jako ofiary, postaci bez skazy, ale jako ludzie z krwi i kości, mający swoje

słabości, podejmujący często niegodne czyny, aby tylko przetrwać. Pomagający im Polak także nie jest szablonową postacią bohatera, początkowo jest to wręcz osoba budząca mieszane uczucia. Jego przemiana także nie jest ukazana w jednoznacznym uproszczeniu. Na pochwałę zasługuje więc znakomita rola Więckiewicza, który został doceniony przez krytyków z Polski i z zagranicy. Dużą zaletą filmu są też zdjęcia stworzone przez Jolantę Dylewską – oddają one całkowicie ponury klimat wojny, a także w pełni ukazują emocje bohaterów, poprzez zbliżenia kamery. Dowodem uznania jej pracy jest nagroda Złotej Żaby na Festiwalu Camerimage 2011. Według krytyków z całego



świata dzieło Holland ma spore szanse na Oscara, a na pewno jest to jeden z jej najlepszych, o ile nie najlepszy, film w karierze. Często jest porównywany do „Listy Schindlera” czy „Pianisty”, ale uważam, że „W ciemności” jest obrazem lepszym od tych dwóch, ze względu na swoją autentyczność. Nie znajdziemy tutaj czarno – białego odwzorowania historii, z której łatwo można by zrobić zbyt patetyczną, przechodzącą w kicz papkę. Właśnie dlatego zachęcam wszystkich do obejrzenia tego dzieła. Osoby, które lubią mocne, przepełnione emocjami kino na pewno nie będą rozczarowane.

M.A.

OBUDŹ SIĘ NA NOWOŚCI!

FILM


W CIEMNOŚCI

 reżyseria Agnieszka Holland
 PREMIERA 5.01.2012

Katolik... grzesznik... drobny złodziejasek... Leopold Socha, Polak ze Lwowa – przez ponad rok pomagał i dawał schronienie ukrywającej się w kanałach grupie uciekinierów z getta. Za pieniądze. Jednak to, co wydawało się okazją do zarobku, doprowadziło do powstania głębokiej więzi emocjonalnej pomiędzy Sochą a uciekinierami, ewoluując w heroiczną walkę o ludzkie życie. Prawdziwą historię Leopolda Sochy i uratowanych przez niego Żydów opowiada przejmujący film Agnieszki Holland „W ciemności” – polski kandydat do Oscara w kategorii najlepszy film nieanglojęzyczny, z wybitną rolą Roberta Więckiewicza i międzynarodową obsadą (m.in. nagrodzona Srebrnym Niedźwiedziem MFF w Berlinie Maria Schrader, Benno Fürmann, Agnieszka Grochowska, Kinga Preis, Herbert Knaup, Krzysztof Skonieczny, Marcin Bosak, Julia Kijowska, Michał Żurawski).


DZIEWCZYNA Z TATUAŻEM
 reżyseria David Fincher
 PREMIERA 13.01.2012

Ekranizacja pierwszej części bestsellerowej trylogii „Millennium” Stiegi Larssona, która w 46 krajach

sprzedada się w liczbie 60 milionów egzemplarzy. Dziennikarz Mikael Blomkvist (Daniel Craig) na zlecenie potentata przemysłowego podejmuje się zbadania rodzinnej tajemnicy sprzed lat. Towarzyszy mu młoda hakerka Lisbeth Salander (Rooney Mara). Para detektywów wspólnie dokonana przerażającego odkrycia...

PŁYTA CD


TO CO DOBRE

 – Andrzej Piaseczny
 PREMIERA 20.01.2012

„To co dobre”, siódmy album solowy w dorobku Andrzeja Piasecznego, z jednej strony jest jawną i udaną kontynuacją „Spisu rzeczy ulubionych” – chociażby za sprawą niepowtarzalnych, wpadających w ucho i chwytających za serce kompozycji Krajewskiego. Ale jest też płytą ze wszech miar zaskakującą – nigdy wcześniej nie słyszeliście głosu Andrzeja w takiej oprawie. Szlachetnej i surowej zarazem, z akompaniamentem, który brzmi światowo i garażowo jednocześnie. Krótko mówiąc – takiej płyty na naszym runku jeszcze nie było. Oto w poszukiwaniu źródeł dźwięku, brzmienia naturalnego i analogowego, Piaseczny zawędrował najpierw do Anglii, a potem do Stanów Zjednoczonych. Konkretnie – do studia Waterfront w Hudson, w stanie Nowy Jork. Tam trafił pod opiekę kompozytora i producenta Henry'ego Hirscha, znanego przede wszystkim ze współpracy z Lennym Kravitzem, ale również Mickiem Jaggerem czy Madonną. Henry nie tylko zadbał o należyte brzmienie materiału, ale też powierzył gościowi z dalekiej Polski

swoje własne piosenki i bardzo interesował się tym, o czym śpiewa Andrzej. „Henry okazał się człowiekiem wyjątkowym, bardzo normalnym facetem. Zawiozłem mu w ramach upominku pakiet płyt wydanych z okazji Roku Chopinowskiego i wiesz, że codziennie, kiedy przychodziliśmy do studia, zastawaliśmy Henry'ego słuchającego Chopina? Do tego gitara na której nagrywał Kravitz, złote płyty Lenny'ego, historie o Tinie Turner czy Micku Jaggerze... To było jak film” – wspomina sesję nagraniową za oceanem polski artysta. Nikt tu jednak nikogo nie udaje, Amerykanie nadali talentowi Andrzeja Piasecznego nowego blasku, ale nie przerobili go na swoją modłę, nie próbowali zmienić w pieśniarza stamtąd. To wciąż jest The Voice Of Poland – jeden z najlepszych, jakie mamy...

DVD


DRIVE

 reżyseria Nicolas Winding
 PREMIERA 19.01.2012

Ekranizacja opowiadania Jamesa Sallisa pt. Drive. Nagroda za reżyserię na MFF w Cannes 2011. Drive to najnowszy film kultowego reżysera, Nicholasa Windinga Refna. Zapnijcie pasy, bo czeka was niezła jazda. Są mężczyźni, którzy wolność mają wpisana w DNA. Przyciągają jak magnes tajemniczym uśmiechem i obietnicą niebezpiecznej przygody. Takim właśnie mężczyzną jest Driver, chłopak, który za dnia pracuje jako kaskader, a nocami wynajmuje się jako kierowca gangsterów. Pewnego dnia poznaje Irene i traci dla niej głowę. Ich „love story” pisane będzie czystą adrenaliną.



O PÓLNOCY W PARYŻU

reżyseria Woody Allen
PREMIERA 19.01.2012

Woody Allen przedstawia swój największy hit kasowy od 25 lat, który osiągnął lepszy wynik niż przebojowa „Vicky Cristina Barcelona”. Tym razem Woody Allen spełnia nasze najskrytsze fantazje w Paryżu – po namiętnej podróży do Barcelony („Vicky Cristina Barcelona”), prze-zabawnym nowojorskim flircie w „Co nas kręci, co nas podnieca” i pełnej pokus przygodzie miłosnej w Londynie („Poznasz przystojnego bruneta”), twórca najwyżej ocenianych komedii ostatnich lat powraca do miasta, w którym, jak sami kiedyś zauważył, „Wszyscy mówią, kocham cię”. W letniej rewelacji kin na całym świecie śledzimy losy niedawno zaręczonej pary: Inez (Rachel McAdams) i Gil (Owen Wilson) przybywają do światowej stolicy romansu, planując ślub. Jednak wierność zakochanych zostanie wystawiona na ciężką próbę, gdy na ich drodze pojawia się wyrafinowany znawca sztuki Paul oraz tajemnicza i zmysłowa muza Adriana, a po czarujących zakątkach Paryża zaczną oprowadzać ich sama Carla Bruni! W gwiazdorskiej obsadzie magicznej komedii Woody’ego Allena znajdziemy także laureatów Oscara Adriana Brody oraz Kathy Bates w rolach miłosnych doradców Gila.

KSIAŻKA



SEZON MACZET

autor Jean Hatzfeld
PREMIERA 20.01.2012

Sezon maczet to druga część trylogii Jeana Hatzfelda poświęconej ludobójstwu w Rwandzie. W Nagości życia

reporter „Libération” spisał świadectwa nielicznych ocalałych Tutsi. Tym razem zwraca się do mieszkających na skraju bagien sprawców rzezi. Dziesięciu mężczyzn odsiadujących kary więzienia w Rilimie decyduje się mówić. Są wśród nich rolnicy, były wojskowy, nauczyciel. Wiosną 1994 roku stali się bezlitosnymi katami swoich sąsiadów, członków tej samej drużyny piłkarskiej, ludzi, z którymi chodzili na niedzielne msze, przyjaciół. Mówią, że starali się jedynie dobrze wykonać swoją pracę, nie oszczędzając nikogo. Tygodniami, od rana do wieczora, zabijali w ramach przygotowywanego od miesięcy planu. Nie próbują się usprawiedliwiać, pomniejszać swojej odpowiedzialności. Opowiadają szczerze, starając się po czasie zrozumieć sytuację, która ich przerosła. Jak stwierdza jeden z nich: „Trudno jest nas osądzić, gdyż to, co robiliśmy, przekracza granice ludzkiej wyobraźni”. Sezon maczet to książka porażająca, zwłaszcza kiedy wiemy, że Ignace, Pio, Leopold i wszyscy inni po kilku latach więzienia wrócili w rodzinne strony.



NIEMIECKA JESIEŃ

autor – Stig Dagerman
PREMIERA 26.01.2012

Była szara, deszczowa jesień 1946 roku. Miasta zrujnowane po alianckich nalotach. Ludzie gnieźdźdźli się w zimnych, zalanych wodą piwnicach. Panował głód. Można było jeść mięso niewiadomego pochodzenia albo próbować coś ukraść. Kobiety, te młodsze, ładniejsze, oddawały się alianckim żołnierzom za papierosy, czekoladę i konserwy. Bo – jak twierdzili niektórzy – lepiej upaść, niż pójść na dno. Ziemniak stał się tym, dla czego warto było narażać życie. Zbierało się okruszki węgla i chrust na opał. Tak wyglądała ponura codzienność mieszkańców Kolonii, Hamburga czy Frankfurtu nad Menem. Stieg Dagerman – korespondent

szwedzkiej gazety, wysłany, by opisać krajobraz po upadku Trzeciej Rzeszy – zobaczył w Niemczech nie sprawców największej tragedii XX wieku, ale ludzi trawionych przez głód, zimno i nędzę, zmagających się z rozgoryczeniem i poczuciem winy. Nie podważając skali niemieckich zbrodni, próbował zrozumieć, czy cierpienia zwykłych Niemców po wojnie to sprawiedliwość dziejowa, czy nieuprawnione okrucieństwo. Stworzył reportaże najwyższej próby, zachowujące aktualność wobec wciąż nierozwiązanych kwestii odpowiedzialności i kary za zbrodnie II wojny światowej.

GADŻET



PAPIER TOALETOWY SUDOKU

Popularność wywodzącej się z Japonii łamigłówki Sudoku zatacza coraz szersze kręgi. Często możemy spotkać ludzi rozwiązujących krzyżówki i rebusy w pociągu, w autobusie czy innym publicznym miejscu. Jeśli jednak wolicie atmosferę samotności i skupienia, oraz miejsce gdzie nikt nie będzie przeszkadzał, możecie oddać się tej rozrywce podczas posiedzenia w miejscu, do którego nawet król chodzi piechotą.

Wielka toaletowa zabawa i doskonały prezent dla dobrze dopasowanego fana sudoku! Pociągnij rolkę i zacznij wypełnianie łamigłówki sudoku. Całość rolki została zadrukowana kratkami łamigłówki z których każda jest inna. Jeśli już rozwiążesz tę łamigłówkę, możesz użyć go zgodnie z podstawowym przeznaczeniem...

Wymiary: 9,5 x 9,5 x 10,5 cm

Każda zagadka jest inna

Opracowanie: Kinga Szydło



RAMÓWKA STUDENCKIEGO RADIA FRYCZ – STYCZEŃ/LUTY

Poniedziałek

17.00- 19.00 – Nie lubię poniedziałków – Ajumi, Gosia, Ania, Ada
19.00 – 20.00 – Czego Dusza Pragnie – Evelina Dziuba
20.00 – 22.01 – Jazzowy Alchemik – Bartek Adamczak

Wtorek

10.00 – 11.00 – Poranek – Kasia Tybor, Marcin Sęk
12.30 – 13.30 – Lunch z Fryczem – Kasia Słowik, Marta Tworzewska
16.30 – 18.00 – Profanum – Artur Wacowski, Filip Jurkowski
18.00 – 20.00 – Herbata truskawkowa – Jadwiga Jagodzińska

Środa

8.30 – 9.30 – Poranek – Kamil Bochenek, Piotr Ćwierz
11.30 – 12.30 – Migawka z Kultury – Kasia Słowik,
Marta Tworzewska, Ania Marusza
12.30 – 13.30 – Lunch z Fryczem – Oskar Langner, Tomek Mucha
15.00 – 16.30 – R jak Rock – Kamil Bochenek, Piotr Ćwierz
17.00 – 19.00 – Jaś wędrowniczek – Ania Bielawa, Iwona Stachura
19.00 – 21.00 – Rozmowy nocą – Robert Maciejczyk, Łukasz Gortal

Czwartek

12.30 – 13.30 – Lunch z Fryczem – Evelina Dziuba, Bartosz Remin
17.00 – 19.00 – Kazania dżungli – Szymon Mierzwa "Tarzan", Artur Chrapek, "Ksiądz"
19.00 – 20.00 – Kwadrans Po – Paweł
20.00 – 22.01 – Wyrób audycjopodobny? – Krab&ELGREGO&JIMY

Piątek

15.00 – 16.00 – Absurdoteka – Magdalena Janczura, Dominika Banyś
21.00 – 22.00 – Bez Majtek przez Świat – Aga Karasińska

Sobota

13.00 – 14.00 – Chaus kontrolowany – Łukasz Wierzchoś,
Sylwester Zamojski

Niedziela

18.00-19.30 – Primetime – Michał Leja, Michał Siwek

www.radiofrycz.pl

